



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Na ślizgawce.

Na lodzie.

*Wysypała się gromada
Na lodowy szlak,
Jak pieniaąca się kaskada,
Co w podskokach z góry spada
I mknie w dal jak ptak.
Wysypała się gromada
Na lodowy szlak.*

*Szlak ustała można zima,
Skrzydłem — żyłwy stal.
Nikt ich w pędzie nie zatrzyma,
Ledwo dojrzeć ich oczyma,
Gdy szybują w dal...
Szlak ustała można zima,
Skrzydłem — żyłwy stal.*

*Mroźny podmucha twarz rumieni...
Ale fraszka chłód!
Lekko naprzód pochyleni,
Po srebrzystej mkną przestrzeni,
Jak po toni wód.
Mroźny podmucha twarz rumieni
Ale fraszka chłód!*

*Już lód skrzypnął, żyłwa dzwoni,
Kreśląc śmiały łuk.
Ręce cugi mają oni: —
Młodą krew, co tętni w skroni,
Zręczność chyżych nóg.
Już lód skrzypnął, żyłwa dzwoni,
Kreśląc śmiały łuk.*

*Tną lód, aż przechodzą ciarki...
Wietrze, ty ich goń!
Lecz, żyłwiarze i żyłwiarki,
Tym, co padną w jeździe szparkiej,
Bratnią podać dłoń...
Tną lód, aż przechodzą ciarki,
Wietrze, ty ich goń!*

Ig. B.

DOBOSZ

EPIZOD Z WOJNY TRANSWAALSKIEJ.



ddział Boerów stracił swego dobosza i szukał nowego.

Pewnego dnia zjawiła się w obozie kobieta w starszym wieku, w żałobie, prowadząc za rękę chłopca i przedstawiła go na wakujące miejsce.

Wszyscy parsknęli śmiechem na widok wątłego ohłopczyzny i dowódzca nawet nie mógł się powstrzymać od objawu wesołości. Malec zarumieniony opuścił głowę, ale po chwili podniósł ją, zwracając swe duże mądre oczy na feldkorneta.

— Może pan być najzupelniej spokojny, panie feld-

kornecie — rzekł śmiało — znam się dobrze na biciu w bęben.

Ten uśmiechnął się dobrotliwie.

— Sierżancie, przynieś bęben i przyprowadź ze sobą trębacza.

Trębacz, trzyłokciowy wiarus, na widok nowego towarzysza potrząsł wąsami i zawołał.

— Co, ty knocie, chcesz być u nas doboszem?

— Nieinaczej, i jeżeli pan tak dobrze umiesz grać na trąbce, jak ja na bębnie, to oddział będzie wkrótce skakał, jak my mu zagramy, — odparł chłopiec, zakładając na szyję pas od bębna.

Skoro tylko uchwycił pałeczki, z taką siłą począł bębnić, że wszyscy żołnierze jednogłośnie wyrazili swoje uznanie.

Wówczas trębacz wyciągnął się jak struna i zaczął jednego ze swych najtrudniejszych marszów. Ale dobosz tak świetnie mu wtórował, że olbrzym oczy tylko wytrzezczał.

— Przyjmuję chłopca, — rzekł feldkornet do matki. Jak mu na imię?

— Samuel.

— Czy tylko wytrzyma nasze błyskawiczne marsze?

Matka wybuchła płaczem.

— Meża i dwóch synów straciłam już na wojnie, trzech młodszych synów służą pod De Wetem. Ten oto jest szóstym i ostatnim; ale nie jestem w stanie dłużej utrzymać go przy sobie. Proszę, błagam was, czuwajcie nad nim i przyprowadźcie mi go z powrotem! Jestem sama, sama jedna!...

Łkania głos jej stłumiły.

— Uczynię, co będzie w mojej mocy, — odrzekł feldkornet; — gdyby jednak miało spotkać go nieszczęście, wiesz sama, że go spotka za Transwaal.

„Sam.” jak nowego dobosza nazywano w pułku, stał się ulubieńcem wszystkich, głównie jednak zdobył sobie serce długiego trębacza. Gdy droga była zła, lub wypadło bród przechodzić, sadzał po prostu chłopca wraz z bębniem na ramię; przy zbyt zaś forsownych i uciążliwych marszach żołnierze całego pułku nieśli go na zmianę. Szczebiotał, śmiał się, bił w bęben aż miło było słuchać, wojakom serce się radowało, patrząc na chłopca.

* * *

Słońce już dawno zaszło z ponad krwią zbroczonego pola bitwy, walka jednak wciąż jeszcze trwała. Tylko ciemność nocna zdołała rozłączyć walczących.

Tu i owdzie migały latarki. Szukano zabitych towarzyszy. Jak cienie posuwały się jedno za drugimi nosze, zdążając do namiotu, gdzie lekarze smutną swą powinnością pełnili.

Między tymi, którzy wśród poległych z latarką w ręku błądzili, znajdował się i długi trębacz. Stracił swego małego dobosza i smutek owładnął nim całym.

— Nie widzieliście Sama? — Nie wiecie, co się z doboszem stało? — pytał wszystkich ze łzami i łkaniem, dławiącem go w gardle.

Co raz to stawał i nasłuchiwał w nadziei usłyszenia dźwięku jego bębna; wiedział bowiem, że Sam nie opuści nigdy swego instrumentu i bić weń będzie, dokąd siły mu starczą.

Tam!... Czyż to nie słaby odgłos pobudki?

I znowu!... Tak to bęben Sama woła o pomoc.

Sązniętymi krokami podążył trębacz w kierunku odgłosu. I coraz wyraźniej dochodziły dźwięki jego uszu. Słyły one od strony rowu, gdzie najzaciętsza wrzała walka.

Przez trupy ludzi i koni przeskakując, spieszył do miejsca, gdzie brzmiała pobudka i ujrzał nareszcie małego Sama. Siedział oparty o pień drzewa, z bębniem obok siebie.

— Co się z tobą dzieje, mały? — zawołał zaniepokojony trębacz.

— Nie bardzo mi dobrze, Jakóbie. Będiesz mnie musiał nieść, jak to już nieraz robiłeś. Nogi mnie opuściły.

I ku swemu przerażeniu spostrzegł trębacz, że dobosz istotnie obie nogi postradał. Kula armatnia mu je oderwała, a pozostałe części miał skórczanemi szelkami mocno obandażowane.

— To ten to zrobił, rzekł Sam, wskazując na wyciągnięte ciało dragona irlandzkiego, który na chwilę przed śmiercią zerwał z siebie szelki i owiązał niemi nogi wroga, aby go od upływu krwi uratować.

Z troskliwością macierzyńską podniósł trębacz ranionego chłopczynę z ziemi, a łzy jedna po drugiej toczyły się po jego ogorzalej twarzy.

Sam to spostrzegł.

— Czego płaczesz, Jakóbie? Nie zapomnij bębna, bez niego nie mogę się w obozie pokazać.

Jakób spełnił jego życzenie, ostrożnie położył chłopca na trawie i zawiesił sobie na szyi bęben. Następnie posadził na nim Sama, a głowę kazał sobie na ramieniu oprzeć.

— Jakiś ty dobry! — rzekł dobosz, — Jeszcze nieraz będziemy razem do boju ruszali. Czy pamiętasz nasz ulubiony marsz.

I słabym, ledwie dosłyszalnym głosem począł go nuć, usiłując palcami takt do niego na bębnie wybijać.

— Jakóbie, — szepnął potem, — pozdrów matkę moją ode mnie!.. Czy jutro pójdziemy znów w pole?

Ostatnie słowa zamarały mu na ustach, główka jego zawisała na ramieniu trębacza, który z ciężarem swym wśród ciał, kamieni i gałęzi ostrożnie kroczył przez pobojo-wisko.

Gdy dostał się do obozu, mały dobosz już nie żył.

Do ostatniej chwili nie opuścił bębna i leżał na nim nieżywy.

J. Nestorowicz.

List Heli, czytelniczki „Wieczorów.“

Gospodarstwo społeczne.



amo kochana! Wyjeżdżając z domu, postanowiłam sobie pisywać jaknajczęściej do rodziców, ale sądziłam, *mea culpa*, że nie będę miała co wam donosić. Tym czasem pisywałamby codziennie, żeby się dzielić myślami, których tyle ze wsząd się zbiera. (Widzisz, matuś, a mówiłaś nieraz, że w mojej głowie wróble się gnieźdzą).

Na wsi wszystko jest proste to i myśleć nie ma o czem. Za czasów Noego żyli ludzie pewnie tak samo. Pracują wszyscy wspólnie, tatko i mama, choć niby są jak król i królowa w Sokołowie, to jednak mozolą się od rana do wieczora. Pomagają im służący, ale i Noe sam nie zbudował arki, tylko musiał mieć pomocników. Nie dziwiło mnie też wcale, że Grzesiowa albo Stachowa całowały mamę w rękę. Mama jest taka dobra, tyle rozdaje lekarstw, pomaga im w biedzie, któżby Rzepichy lub Dąbrówki nie kochał?

Na wsi byłam zupełnie szczęśliwa i nie zastanawiałam się nad tem, jak świat powinien być urządony. Dopiero w Warszawie przyszły mi do głowy różne myśli i różne wątpliwości.

Naprzykład teraz nadchodzi Boże Narodzenie. O, wiem to dobrze! bo wyliczyliśmy już, że za dwanaście tysięcy mi-

nut wyjedziemy z Warszawy, ale tymczasem nigdy miasto nie wydawało mi się tak piękne, jak teraz. We wszystkich sklepach mnóstwo podarków na gwiazdkę, a często i drzewka wspaniale ubrane zobaczyć można. Przypatrują się im przez okna dzieci otulone w futerka, ale patrzą na te śliczności i dzieciaki ubogie, zaledwie okryte. Któż dla tych gwiazdkę zapali?

Mama dla dzieci fernali przygotowuje choinkę, ale w Warszawie jest ubogich dzieciaków mnóstwo, aż strach pomyśleć.

Już to także dopiero w Warszawie zaczęłam pojmo-wać, jak wiele, jak nieskończenie wiele jest ludzi na świecie. Profesor powiedział nam wczoraj, że rodzi się rocznie na kuli ziemskiej dwa miliony dzieci, czarnych, białych, żółtych, brunatnych, wszystko razem policzywszy, aż dwa miliony, mateczko!

Żeby tak zebrać w jedno miejsce całą tę gromadę, dopieroż byłby wrzask! Nie zapomnę, jak krzyczał mały Antek, kiedy go trzymałam do chrztu.

Mniejsza z tem, ale Chińczyk, Murzyn, czy Europejczyk chce jeść, potem rośnie, potem się uczy, potem chce pracować. Co więc mają robić te dwa miliony? kto myśli o tem, żeby przybywało chleba w miarę, jak przybywa ludzi na kuli ziemskiej. Mateczka pewnie znajdzie na te pytania odpowiedź, ale ja napróżno łamię sobie nad niemi głowę

Dawniej było łatwiej, naprzykład Abraham i Lot pogodzili się prędko z sobą, bo jeden poszedł na prawo, żeby tam paść swoje trzody, a drugi udał się na lewo w tym samym celu i obadwaj posiadli ziemię, której pragnęli. Nikt im nie zaprzeczał własności, bo nikt pól nie uprawiał. Było tyle roli, że każdy mógł orać swój zagon. Ale dziś jest przecież inaczej, stara Maryanna mówiła mi kiedyś, że coraz ciałniej ludziom na świecie i to jest prawda, ale ja to dopiero teraz w Warszawie zrozumiałam.

Powiedziałam cioci Dziuni, że powinniśmy jak najmniej jeść, żeby nie zabierać innym chleba. Ciocia jednak jest przeciwnego zdania, radzi żywić się porządnie, bo tylko zdrowi i silni ludzie nie są ciężarem społeczeństwu, mogą owszem pomnażać jego środki. A jednak kiedy widzę piękne wystawy gwiazdkowe i bosych dzieciaków przypatrujących się im przez sklepowe szyby, to chciałabym być małą, jaknajmniejszą, lilipucją, żeby nie zabierać wiele miejsca, skoro jest go na świecie tak mało dla wszystkich..

Niedziela rano. Nie skończyłam wczoraj pisać a dziś oddano nam list mamy. To prawdziwe czary, żeby mateczka tak przeczuła moje myśli i, nie pytana jeszcze prawie, na nie odpowiedziała. Aż mi lżej na sercu, że mogę śmiało zajądać śniadanie. Tak, mateczka ma słusność, niech tylko *każdy z całego serca pracuje dla drugich*, a chleba nie zbraknie. Mama radzi, żebyśmy i w Warszawie przyczyniały się do dobrobytu świata, kiedy nie możemy uczyć biednych dzieci, żebyśmy brały jakikolwiek udział w gospodarstwie społecznem.

Gospodarstwo społeczne! to brzmi wspaniale. Wielkie gospodarstwo! obejmuje ono całe narody i cały świat. Ciocia Dziunia mówi, bo pokazałam jej list mamy, że będziemy się kiedyś uczyły zasad tego gospodarstwa, i że ta nauka, którą *ekonomią polityczną* nazywają, jest bardzo ciekawa. Ma ona na celu dobrobyt wszystkich i dla tego mi się podoba.

Obie z Wańdzą myślemy też o tem, jak już dziś służyć społeczeństwu, jak brać udział w jego gospodarstwie. I wie mama co wymyśliłyśmy? Mama przysła nam worek szyszek świerkowych, które nieużytecznie gniją w lesie, a my w wolnych od zajęć godzinach będziemy z nich szyły kapelusze. Pamięta mateczka te, które robiłyśmy dla lalek! Były śliczne, dlaczegóż nie mamy teraz robić większych i użyteczniejszych. Tym sposobem powiększymy bogactwo społeczne, bo z rzeczy bezwartościowej zrobimy wartościową, i otrzymamy fundusz na węgiel dla więcej od

nas zziębniętych biedaków, gdyż na ten cel przeznaczamy zarobione pieniądze, chcąc żeby nasza praca przyniosła drugim pożytek, a więc była troszeczkę społeczną.

Widocznie nie my jedne, Bogu dzięki, myślemy o ratowaniu świata przez pracę dla drugich.

Myślą o tem w Warszawie różne instytucje i osoby, którym pomagają, jak mogą, młodsze i starsze od nas panny. Szanowny ksiądz Siemiec np. pomyślał o chłopcach, panienki i panny warszawskie zakrzętnęły się około dziewcząt i chcą zabezpieczyć ich los, wychowując je na dobre sługi.

Znów przerwano mi list, a teraz wracam ze ślizgawki. Ślicznie wyglądał Saski ogród, zaspany śniegiem, a Hela, wasza Hela tak ślizgać się lubi! Używałyśmy więc obie z Wańdzią na holendrach, łyżwy od mateczki są doskonałe, a świat piękny, jakby białym obrusem zasłany. Mateczko, żeby tak można do wielkiego stołu, większego niż trawnik w Saskim ogrodzie, zaprosić wszystkich ludzi, cały tłum głodnych i niegłodnych, dość, że braci, czarnych, żółtych, białych i łamać z nimi opłatek wigilijny... Jakby to było pięknie, jak dobrze! A ja wołałabym na nich: kochajcie się, kochajcie, pracujcie wszyscy jedni dla drugich, bo jak ślicznie powiedział poeta:

Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch Boży,
A całość sama się złoży.

Duch Boży każe kochać i pracować dla drugich, praprawda mateczko?

twoja Hela.

Za dziesięć tysięcy minut wyjedziemy z Warszawy.
Wiwat!



J. E. ks. biskup Zdzitowiecki.

Nowi biskupi.

W ciągu bieżącego miesiąca dwie dyecezye, kujawsko-kaliska z rezydencją we Włocławku i Sandomierska, osierocone przez śmierć biskupów: Bereśniewicza i Sotkiewicza — otrzymały nowych pasterzy: J. E. ks. Stanisława Zdzitowieckiego i J. E. ks. Stefana Zwierowicza, których portrety zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Pierwszy z nich urodził się w 1853 r. w Barczkowicach gub. Piotrkowskiej i skończywszy w 1877 r. Semi-

naryum warszawskie, udał się na studia teologiczne do Rzymu, poczem był kolejno wikaryuszem w Warszawie, proboszczem w Górach Wysokich, wreszcie kanonikiem kapituły sandomierskiej. Drugi urodzony w r. 1842 w pow. Bielskim gub. grodzieńskiej, piastował już od r. 1897 godność biskupa wileńskiego, a studia duchowne prowadził w seminarijum wileńskim i akademii petersburskiej. Obaj pastarze odznaczają się głęboką nauką, wysokimi zaletami serca i umysłu, a szczególną opieką otaczają młode pokolenia, pełni dbałości o ich wychowanie religijne i moralne.

Dla wiadomości czytelników naszych dodajemy, że w guberniach królestwa Polskiego jest 7 dyecezyi (t. j. prowincyi biskupich): Warszawska (archidyecezya), Płocka, Kujawsko-kaliska, Lubelska, Kielecka, Sandomierska i Sejmieńska, której biskup ś. p. ks. Antoni Baranowski zmarł przed trzema tygodniami. W całym państwie istnieją nadto: archidyecezya Mohylewska łączna z dyecezyą Mińską i dyecezye Wileńska, Kowieńska, Łucko-żytomierska i Tyraspolska.



J. E. ks. biskup Zwierowicz.

NOWA KOLEŻANKA.

(Dokończenie).



Wanda rozplakała się i wyszła z pokoju, o! jakże się czuła nieszczęśliwą w tej chwili! Jakże ta Irenka jest niegodziwa! — powtarzała sobie w duszy biedna Wanda. Gdyby panna Teresa była w domu, opowiedziałaby jej wszystko, a ta uwierzyłaby jej z pewnością, lecz dziś nie miała nawet do kogo się udać, pani Ziębowiczowa była jej zbyt obca. Choć strasznie ciężko było jej na sercu i niesłuszne oskarżenie dotknęło ją głęboko, jednak zamknięty w sobie charakter Wandy nie pozwalał jej zwierzyć się nikomu, nawet koleżankom.

Nie wesoło przeszedł dzień cały, Wanda była smutna, Irenka rozdrażniona i w złym humorze nawet dzień następny, owa oczekiwana niedziela, nie wpłynęła na rozveselenie panienek. Pod wieczór dopiero, gdy goście zaczęły się zbierać, zapomniały o swych troskach.

Przybyły cztery panienki, znajome i koleżanki z braćmi, przyszła też panna Helena Kraczevska, ona i panna Ziębowiczówna były jedyne dorosłe panny w tem młodym gronie. Gwarno i wesoło było w salonie p. Teresy, śmiechy, rozmowy, żarty nie ustawały na chwilę, jakkolwiek nie trzymano się ściśle programu panny Ziębowiczówny, bawiono się znakomicie. Rozpoczęto gry, panna Helena zaproponowała sekretarza.



Na pasterkę.

*Jeszcze srebrne gwiazdy świecą,
 A w powietrzu mroźno, cicho,
 Śnieg opłotków dmie ulicą,
 A na drzewach okiść wiechą,
 We wsi okna z pod strzech w kole
 Czerwonemi patrzą oczy,
 Ale dalej — szczerze pole,
 I noc czarna cieniem mroczy.
 Kędy droga z dworu biała
 Brzęk już słyhać i parskanie,
 Sadzi czwórka oszadziła
 Za nią żłobem idą sanie.
 Dziaduś siwy wziął wilczurę,
 Babcia wdziała zausznicę,
 Posadziła obok córę,
 I siwiutką tuż klucznicę.*

*Wnuk powozi — wali z bąta
 Echem leci w dal klaskanie,
 Sadzi czwórka w szadz srokata,
 I jak żłobem idą sanie.
 A tam w onej mrocznej głębi,
 Gdzie zaledwie świta dzionek,
 Ponad śnieżny puch gołębi
 Hen! polata srebrny dzwonek.
 Dziad pacierze zaczął nowe,
 Ujął srebrną tabakierkę,
 I rzekł: Ostro weź licowe,
 Trzeba zdążyć na Pasterkę.
 Śmignął bat — skoczyły szpaki,
 Aż dziad krzyknął: Zuch mosanie!...
 Pole — przeszkód, konie — ptaki
 I jak wicher idą sanie...*

— To takie zabawne — mówiła — gdy się potem czyta zapytania i odpowiedzi.

Lecz Irence ta myśl nie bardzo się podobała, nie była pewna, czy potrafi dobrze napisać, a chciała zawsze pokazać się jak najlepiej w oczach p. Heleny, poradziła więc gry biegane, co zostało przyjęte z zapalem, zwłaszcza przez młodszą część towarzystwa. Składano fanty i już spora ich liczba zebrała się w koszyku u pani Kraczewskiej.

— Czas już na sądenie fantów — odezwała się panna Helena.

— Ale przedewszystkiem czas na herbatę — rzekła pani Ziębowiczowa — trzeba sił nabrać do wykupywania fantów.

Wszyscy poszli do jadalnego pokoju, by zająć miejsca przy zastawionym stole, Julcia i Mania jako najpraktyczniejsze z domowych, zajmowały się herbatą, częstowały gości.

Po herbacie zajęto się fantami, które sądzono najrozmaiciej. Wypływały zabawne kombinacje, Hela Malinowska, która nigdy grać się nie uczyła, została skazana na muzykę, Stasiowi Bielińskiemu kazano śpiewać, choć miał głos fałszywy, jedni wywiązywali się jak umieli ze swego zadania, inni prosili o zastępstwo, lecz wszyscy byli zadowoleni.

— Nechże teraz będzie deklamacja — rzekła panna Helena — jeszcześmy tego nie mieli, ale zastrzegam sobie deklamację prawdziwą, wolno prosić o zastępstwo lecz wiersz powinien być ładny.

— Zgoda, zgoda — wołano w około.

— Czyj to fant? — spytała pani Kraczevska, podnosząc z koszyka rękawiczkę.

— To Irenki, to panny Ireny — ozwały się liczne głosy.

— No, to przynajmniej los dobrze trafił — odezwała się panna Ziębowiczówna — prosimy cię, Irenko, ty co umiesz tyle rzeczy na pamięć...

— Ale ja dziś nie mogę deklamować — broniła się zarumieniona Irenka.

— Dlaczego?

— Bo mam chrypkę.

— Nie znać jej w twoim głosie, nie wymawiaj się.

— Ale naprawdę, mam chrypkę i nie mogę dużo mówić, może kto mnie zastąpi.

— Mogę cię wyręczyć, tylko nie wymagajcie czegoś długiego — powiedziała panna Ziębowiczówna i szepnąwszy parę słów pannie Helenie, na które ta odpowiedziała skinieniem głowy, podniosła się z krzesła i zaczęła mówić:

Czemu mi smutno? Czy, że wiatr jesieni
Lasy i pola już odarł z zieleni,
I tam wysoko, po niebie nade mną
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną,
I w uszach skargą jęklivą przewiewa,
I pędzi tuman liści spadłych z drzewa,
Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co wirem szalu i losu porwana
Po szlakach drogi nieznannej, nieznana
Leci, aż padnie smutna i daleka,
Gdy wiatr ucichnie, lub jej zbraknie siły
Nad brzegiem jakiejś tam obcej mogiły?...

Kiedy skończyła, rozległy się żywe oklaski.

— Jakże to piękne — odezwała się jedna z panienek.

— A czyj to jest wiersz? — spytał Władzio Kalicki.

— Czyj utwór? niech powie Irenka.

— Dlaczego ja mam powiedzieć?

— Wet za wet, — wyręczyłam cię w deklamacji, ty mnie wyręczysz w objaśnieniu, to chyba nie sprowadzi ci chrypki. Proszę tylko — dodała żywo — aby nikt z państwa się nie odzywał, i ty Helusiu nic nie mów, przyrzekaś, że nie będziesz się sprzeciwiała.

Irenka zrozumiała złośliwy trochę zamiar panny Ziębowiczówny i była w prawdziwym kłopotcie; przyznać się wobec wszystkich a zwłaszcza w obec panny Heleny, że nie

wie czyj to utwór, było zbyt wielkiem dla niej upokorzeniem, postanowiła unikać odpowiedzi.

— Nie rozumiem po co ten egzamin, nie jestem obowiązana do odpowiedzi — rzekła niecierpliwie.

— Posądzam, że nie wiesz co odpowiedzieć — rzekła przekornie panna Ziębowiczówna.

— Owszem, wiem doskonale, tylko nie chcę powiedzieć.

— Nudne jesteście z tą sprzeczką — zawołała panna Helena — nie marudź Irenko, wymień prędko tytuł autora poematu i bawmy się dalej.

Irenka czuła się zgubioną, niema sposobu, choćby upierała się, że nie chce mówić, wszyscy odgadną jej nieświadomość.

— Nie wiem po co to wszystko — zaczęła zmieszana — przecież wszyscy wiedzą... że te wiersze... że ten wyjątek... że to jest...

— Elegia Narcyzy Żmichowskiej — usłyszała cichy szept za sobą.

— Elegia Narcyzy Żmichowskiej — powtórzyła i obejrzała się szybko.

Tuż za nią we drzwiach salonu stała Wanda, która w tej samej chwili cofnęła się do drugiego pokoju. A więc to ona ją uratowała, ona, której wczoraj taką wyrządziła krzywdę. Irenka nie namyślając się, pobiegła za Wandą i płacząc, rzuciła się jej na szyję.

— O, Wańdziu, Wańdziu, jakaś ty dobra! jakaś ty szlachetna! przebac mi wczorajszy postępek, jutro powiem prawdę pannie Perzyńskiej, naprawię wszystko, ty nawet nie pojmujesz, od jakiego wstydu mnie uratowałaś.

— Niema o czem mówić — rzekła Wanda — zwykła koleżeńska przysługa.

— O nie, Wando, to nie jest drobnostka, nie zapomnę ci tego przez całe życie.

I rzeczywiście ta chwila była początkiem ich przyjaźni, gdyż Irenka szczerze wdzięczna za wyświadczoną przysługę, pozbyła się wszelkich względem niej uprzedzeń. Swą szlachetnością Wanda nie tylko zjednała sobie wszystkie koleżanki, lecz uszlachetniła je. Potem, gdy wakacje nadeszły i panienki rozjeżdżały się do rodziców, choć z radością jechała do domu, jednak z pewnym żalem żegnała swe towarzyszki, wśród których nie czuła się już obcą. One także z żalem ją żegnały.

M. Beldowska.

ZE ŚWIATA.



Ostatnie wyprawy podbiegunowe.

Okolice bieguna północnego naszej ziemi nie przestają pociągać przedsiębiorczych i śmiałych umysłów, zarówno dawniej, jak i obecnie. Anglicy i Amerykanie mieli dotąd pierwszeństwo w tych niebezpiecznych wyprawach. Znane są wszystkim nazwiska: Franklina, który wraz z towarzyszami stracił w jed-

nej z nich życie, dalej Kana, Ross'a, Pear'a i wielu innych. Z kolei Austriacy, Szwedzi, Norwegczycy i Włosi zajęli się temi wyprawami, a dzięki energii śmiałych podróżników, poczynili ważne odkrycia. W ostatnich czasach, norweska wyprawa Nansena zaciekała świat cały. Ten śmiały podróżnik przepędził straszną zimę wśród „Nocy i lodów” a opis przygód jego, które kiedyś skreśliłiśmy, można czytać jak jakąś baśń ciekawą. Dotarł on saniami, ciągnionymi przez psy, aż do 86° 14' szerokości północnej, i jedynie

włoska wyprawa pod wodzą księcia Abruzzów, brata stryjecznego obecnego króla Wiktora Emanuela, doszła 15 mil dalej, to jest do 86° 33' szer. pół., jakkolwiek nie była tak dobrze urządzona i zaopatrzona, jak wyprawa Nansena.

W obecnym roku wróciły trzy wyprawy podbiegunowe:

Sverdrup'a towarzysza Nansena, który popłynął na tym samym okręcie, słynnym *Framie*, po raz drugi śladami dzielnego podróżnika. *Baldwin'a* i *Peary* obu Amerykanów, ten ostatni po czteroletniej nieobecności.

Wyprawa *Baldwina* miała zaćmić wszystkie inne. Bogacz amerykański *Wiliam Zigler*, otworzył mu kredyt do 5 milionów franków na wszystkie urządzenia.

W dniu 10 lipca 1901 r. wyruszył *Baldwin* z Trömsöe do ziemi *Franciszka Józefa*, zabierając na trzech parowcach załogę, zapasy 320 psów syberyjskich, znaczną ilość sanii, a wrócił z niczem, bo ogromny ten tabor krępował mu swobodę ruchów.

Trzecia wyprawa, *Pearego*, przyniosła przynajmniej wiązkę ciekawych spostrzeżeń o Grenlandyi i okolicach podbiegunowych. Przebył on je wzdłuż i wszerz, na saniach w towarzystwie *Eskimosów*, których kilka rodzin prowadził z sobą. Wypłynął w czerwcu 1898 roku. Spostrzeżenia jego, równie jak w ogóle wszystkich ostatnich podróżników, obalają przypuszczenie (hypotezę) morza wolnego od lodów w okolicach bieguna. Owszem, zdaniem *Pearego* lody zwolna od bieguna posuwają się na dół.

Grenlandya, która niegdyś musiała być krainą zamieszkaną, nieknie pod górą lodu i śniegu. Z ziemi wolnej od śniegu lafem pozostało w Grenlandyi najwyżej 5 do 25, a w paru miejscach 60 do 80 mil ang. szerokości. Pas ten wybrzeży otaczają góry. Doliny za nimi zasypane są śniegiem, który pogrzebał ziemię na kilka tysięcy stóp wysokości. Całe wnętrze Grenlandyi jest to olbrzymia tarcza, lśniąca srebrnym połyskiem na 1200 mil długo, a 500 szeroka. Na tej zamarzałej pustyni, niema śladu życia roślinnego lub zwierzęcego.

Po zachodniej stronie zatoki *Smitha* napotkał *Peary* niezliczny szereg *Eskimosów*. Mieszkają oni prawdopodobnie najdalej na północ z całego rodu ludzkiego, żyją pod uciskiem straszego zimna, bez rzędu, bez własności z wyjątkiem ubrania i broni, ze słabymi pojęciami religijnymi. Ubranie ich jest sporządzone ze skór zwierzęcych i ptasich. Jedynym celem życia—zdobywanie żywności i materiału na opał i odzienie.

Mimo tego prawie zwierzęcego bytu, przy bliższym zetknięciu *Eskimosi* okazali się bystrymi, rozsądnymi i łagodnych obyczajów. Towarzyszyli *Pearemu* przez ciąg jego czteroletniej podróży. Uspołecznił się znacznie i przyszli do względnej zamożności, bo podróżnik rozstając się z nimi, zaopatrzył ich w broń i najpotrzebniejsze narzędzia.

Nie udało się więc żadnej z trzech ostatnich wypraw zatknąć sztandaru swego na krańcu osi ziemskiej, na owym tajemniczym biegunie. Niema jednak wątpliwości, że odwaga prawdziwa i gorąca żądza wiedzy niejednego jeszcze tam poprowadzi żeglarza i podróżnika, i może nareszcie dotęgną swego celu ku chwale ludzkości, bo zwycięstwo należy do wytrwałych.

Granat czeski (pyrop) można uważać za jedyny cenny słowiański kamień. Różne gatunki granatów znajdują się w różnych krajach i mają rozmaite kolory. Najbardziej znanymi gatunkami są: granat indyjski (almandyn), koloru wiśniowego, krwawego, niebiesko-czerwonego i t. p.; odmiana ta znajduje się w Azji Mniejszej, na Cejlonie, oraz w Czechach pod Kolinem. Granat syberyjski „grossulan” jest zielonawy lub żółtawy, granat „hessonit” z Cejlonu i Piemontu ma barwę pomarańczowo-różową, zwyczajny granat tyrolski jest koloru ciemnego, mniej przezroczysty, a znajduje się też w Tatrach. Granat Czeski „pyrop” jest odmianą najładniejszą, ma kolor czysty ciemno-krwawy

i znajduje się w ziarnach wielkości grochu lub mniejszych, rzadko większych, zarośnięty w kamieniach około Tryblic, Podsedzie i Roweńska. Właścicielami kopalni są hr. Schönbornowie i największe pyropy oszlifowane przesyłają od lat kilkuset w darze Ojcu św, na krzyże kardynalskie. Jedyny granat czeski wielkości jajka gołębiego znaleziono przed laty 600 za panowania Karola IV i sprzedano za 40,000 talarów saskiemu skarbowi królewskiemu, gdzie się dotąd znajduje.



Do nagrody:

Zagadka geograficzno-historyczna.

Wyspa to jest niewielka, a jednak, jeśli kto zechce łodzią objechać ją dokoła, musi jechać tak długo, jak gdyby cztery razy była większą.

Cała ta wyspa jest skałą jednolitą, a skała ta składa się z minerału powszechnie znanego, bardzo pospolitego, który też często znajduje się w rękach młodzieży.

Wyspa ta jest bardzo zbliżona do lądu, leży naprzeciw ujścia znanej rzeki.

Niegdyś, w dawnych czasach, mały ten kawałek ziemi miał w dziejach ludzkości niepospolite znaczenie, zasiany jest pamiątkami świetniejszej przeszłości. Były tam bogate i wspaniałe świątynie pogańskie, z tych dwie szczególnie używały wielkiej sławy, jedna na morskiem wybrzeżu, druga na wyniosłej wyżynie.

Dawniej ta wyspa miała aż trzy nazwy, a czwartą nosi obecnie. Dziś jedynie z powodu tych starożytnych pamiątek zwraca na siebie uwagę, odwiedzaną jest obecnie dla morskich kąpiel.

Jak się ta wyspa nazywa, jak się nazywała dawniej, gdzie leży, jakie są jej starożytne pamiątki?

* * *

Kto najlepiej rozwiąże tę zagadkę i nadesłanie najdokładniejszą odpowiedź na powyższe pytania, otrzyma jako nagrodę książkę:

Austriacy w Warszawie, W. Przyborowskiego.

Termin nadsyłania rozwiązań 20 stycznia 1903 roku.

S Z A R A D A .

Od Rózi dla Czytelniczek Wieczorów.

Pierwsza i druga! z prawdą na czele
Ty byt zapewniasz, wiedziesz do mety.
Pierwsze i trzecie znaczy, że wiele
Słów wypowiada z każdej podniety.
Trzecie i czwarte w znak uprzejmości,
Czyni gospodarz przyjmując gości.
Wszystko, do wielkich zalet ja liczę,
I być nią każdej, każdej z was życzę.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 49-go.

Łamigłówni kryształowej:

L o h e N g r i n
 H a b a k u k
 L i p n o
 P ł o c k
 I l e
 K r e t a
 H i p o l i t
 S r z e n i a w a
 N a p o l e o n B o n a p a r t e
 N o s k o w s k i
 A p e n i n y
 K l a r a
 L i p s k
 P a n
 P a r y s
 D e o t y m a
 A g a m e m n o n

ROZWIĄZANIA DO N-ru 50.

Szarady: A — to — my.

Wierszyków bez końcówek:

Poczerniało niebo,
 Poczerniało pole,
 A gdzie lecisz, odlatujesz,
 Siwy mój sokole.
 Czy lecisz za góry,
 Czy za morze sine,
 Za tem słońkiem za tem złotem,
 W weselszą gościnę.
 Weselszą gościnę
 Znajdziesz sobie wszędzie;
 Lecz za cichą wioską naszą
 Tęskno tobie będzie.
 Co spojrzysz za siebie,
 To serce zasmucisz,
 Aż się z nową wiosną do nas
 I do gniazdkę wrócisz.

Marya Konopnicka.

Od Redakcyi.

W roku 1903 WIECZORY RODZINNE dodawać będą:

Przy każdym numerze osobny bezpłatny dodatek powieściowy, tworzący biblioteczkę WIECZORÓW (kilka tomów na rok).

Bezpłatne premium gwiazdkowe — oddzielną KSIĄŻKĘ dla wszystkich prenumeratorów.

Numera okolicznościowe powiększone (święteczne, wakacyjne, gwiazdkowe i t. p.) z rycinami kolorowanymi.

PREMIA DODATKOWE.

„Wyjątkowa sposobność dla prenumeratorów Wieczorów.”

Niezależnie od dodatku powieściowego przy każdym numerze, bezpłatnego premium gwiazdkowego i numerów powiększonych, postaraliśmy się o ułatwienie nabycia naszym czytelnikom kilku cennych dzieł i zajmujących powieści (15 tomów) po cenie o połowę niemal niższej.

Prenumeratorzy WIECZORÓW RODZINNYCH mogą nabywać w Redakcyi pojedynczo lub po kilka następujące książki:

1. *Brehm. Królestwo zwierząt.* Obrazy z życia i obyczajów świata zwierzęcego, w przekładzie St. Rewieńskiego. **Najlepsze i najciekawsze dzieło w tym rodzaju.** Wielki tom o 970 str. z licznymi rysunkami zamiast rub. 5 — rub. 2 kop. 80
2. *Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.* Wszystkie pisma wydane pod redakcją Narcyzy Żmichowskiej tomów 6 zamiast rub 3 — rub. 2.
3. *Zygmunt Gloger. Słownik rzeczy starożytnych polskich* zamiast rub. 1 kop. 50 — kop. 50.
4. *Stephenson. Skarby na wyspie* (słynna powieść) zamiast rub. 1 ko. 20 — kop. 65.
5. *Sekreć białego dworku* zamiast r. 1 k. 20 — k. 60.
6. *J. Verne. Dzieci kapitana Granta* 3 tomy w jednym zamiast kop. 60 — kop. 40.
 „ 20,000 pod wodą zamiast rub. 1 k. 50 — rub. 1.
 „ Podróż do środka ziemi zamiast r. 1 — k. 70.
 „ Sfinks lodowy zamiast rub. 1 — kop. 80.
10. *J. Chęciński. Dzień grzecznego Władzia* dla młodszych dzieci zamiast rub. 1 kop. 20 — kop. 75.

NB. Pragnących otrzymać te książki pocztą, prosimy o przysyłanie nadto na koszt przesyłki odpowiednio do wagi książek: za Brehma — kop. 50, za 6 tomów Hofmanowej — rub. 1, za Słownik — kop. 28 i za powieści po k. 21.

ENCYKLOPEDIY
STAROPOLSKIEJ
 ilustrowanej (Zygmunta Glogera)
 wyszedł Tom III-ci

obejmujący wyrazy od K do P, a łącznie z dwoma poprzednimi około dwa tysiące artykułów i kilkaset ilustracji, rysunków, nut, z polskiej kultury, obyczaju, praw, dziejów, urzędów, kunsztów, ubiorów, uzbrojeń, zabaw, gier, dowcipu, pieśni, pamiątek i w ogóle życia (wszystkich stanów) domowego i publicznego, rycerskiego i rolniczego, kościelnego, rzemieślniczego i łowieckiego, z 9-ciu wieków ubiegłych. Cena całego dzieła na welinie i w oprawie ozdobnej, w księgarniach i redakcyi (ul. Chmielna 50) rb. 12.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

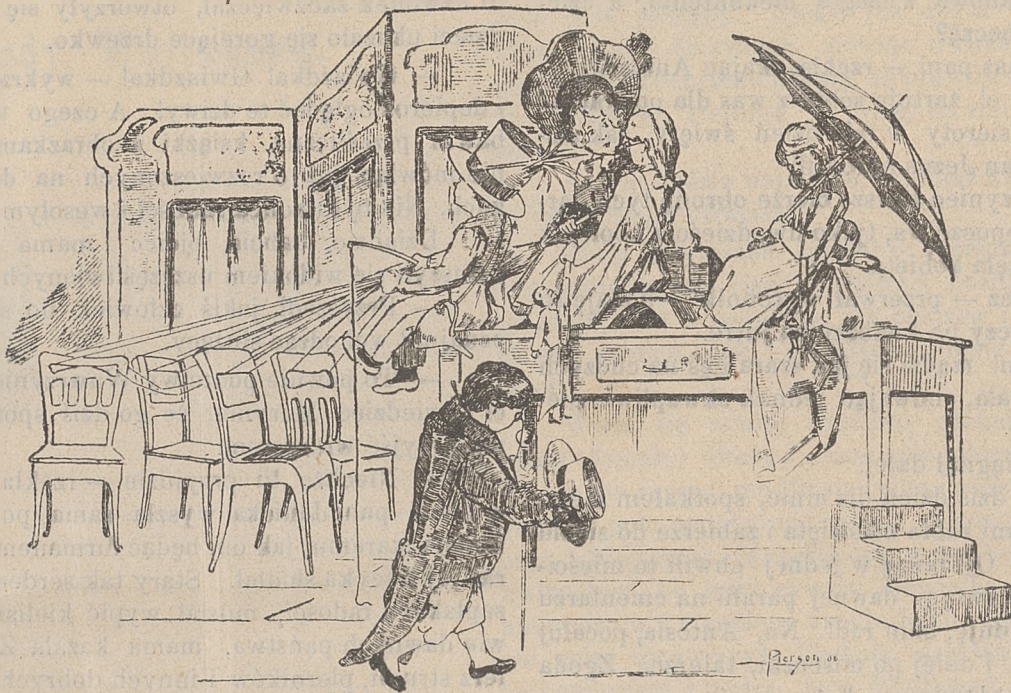
ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRZĘŚĆ: Na łodzi, wiersz przez Ig. B. z ryc.) — Dobosz, epizod z wojny Transwalskiej, przez J. Nestorowicza. — List Heli, czytelniczki „Wieczorów.” — Nowi boskupi (z port.) — Nowa koleżanka (dokończenie). — Na pasterkę, wiersz przez Bożydara (z ryc.) — Ze świata. — Do nagrody: Zagadka geograficzno-historyczna. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Przejazdka, wiersz przez Janinę Szląskowską (z ryc.) — Wigilia Bożego Narodzenia (dok.) — Przygody Wojtaszka (dokończenie). — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Spis rzeczy z roku 1902.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta, przez Z. Rudnicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 8 Декабря 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



Przejażdżka.

— Dzisiaj w pokoju pobawcie się dziatki,
Bo na przechadzkę mróz wyjść nie pozwala,
Rzekła raz mama do swojej gromadki.
— Cóż robić będziemy? — pyta smutnie Hala.
— Mnie nudno w domu! — skarży się Janeczek.
— Eh, nic tak złego znowu się nie stało, —
Mówi Anusia. — Wesoło, bez sprzeczek,
Urządźmy sobie zabawę wspaniałą.
Patrzcie! Stół duży — to nasz powóz będzie;
O, są i schodki — pyszny stopień taki!
Ustawiam krzesła — po dwa w każdym rzędzie,
To nasze konie — ogniste rumaki!
Zamiast po śniegu biegać przez ulicę,
Możemy sobie przejechać się ładnie;
Janek nam będzie służył za woźnicę;
Jeszcze o lejcach pomyśleć wypadnie.
— Dam moje sznurki! — zawołał Maryanek,
A sam się pięknie ustroję za pana,
No, powóz gotów, proszę jejmościanek.
Siadać! Lecz coż to? Anusia przebrana?

Kapelusz mamy włożyła Anusia,
Zniszczony, stary, ale bardzo duży;
Jak pięknie pióro powiewa od strusia.
— I ja też jestem gotów do podróży! —
Mówi Janeczek i staje przed niemi,
W cylindrze wuja. Maryanek przynosi
Ubranie tatki, długie aż do ziemi,
A znowu Heli i praktycznej Zosi
Do tej wyprawy tłomoczków potrzeba;
Zda się parasol, zapasy żywności;
W torebkę kładą jabłuszek i chleba.
Teraz już jedźmy, proszę jegomości!
Siadają wszyscy na wysokim stole;
Janeczek z batem już popędza konie.
Maryanek rzecze: — Ja bo przejść się wolę;
Potem was spotkam, pięknie się uklonię,
Wsiadę... ruszymy, co konie wyskoczą!
Jak będę wsiadał, wstrzymasz powóz, Janku.
I grzeczne dzieci bawią się ochoczo,
Choć śnieg na dworze pada bezustanku.

Janina Szląskowska.

Wigilia Bożego Narodzenia.

III.



tej chwili schody zatrzeszczały pod ciężkimi krokami i Wawrzyniec, obładowany kilkoma paczkami, wszedł szybko do sutereny.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zawołał od proga, a cóż tu się dzieje, pani Janowa z czegoś niekontenta, a dzieciśka beczą?

— Wypędza nas pani — rzekła, łkając Antosia...

— Wypędza? e! żartuje sobie z was dla postrachul a któżby wypędzał sieroty w taki dzień święty, jak dzisiejszy, kiedy się Pan Jezus narodził!

— Pan Wawrzyniec zawsze bierze obronę tych darmozjadów, a ta niepocziwa, tylko dwadzieścia kopiejek przyniosła... — zaczęła kobieta.

— Wielka rzecz — przerwał wyrobnik — dodaję tu 30 kopiejek, to starczy na kiełbasę na jutro.

— Jaki mi pan! rządzi się jak szara gęś na cudzych śmieciach — mruzczała, chowając jednak skwapliwie pieniądze do kieszeni.

Wawrzyniec ciągnął dalej:

— Szczęśliwy dziś dzień dla mnie, spotkałem mego dawnego pana, dał mi rubla na święta i zabierze do siebie na wieś na robotę. Oj! rzucę w jednej chwili to mieścisko, stare kości w swojej dawnej parafii na cmentarzu położę... a teraz funduję, bom rad! No, Antosia, pocałuj w rękę gospodynię, i dalej po miseczki, talerze. Zgoda z nami pani Janowa! Dosiego roku!

W jednej chwili stół był zastawiony, Wawrzyniec postawił na środku przyniesioną przez siebie choinkę ze świeczkami, z jednej strony wysypał na stół kilkanaście czerwonych jabłek, z drugiej włoskich orzechów; znalazł się też i piernik suto anyżem osypany. Potem przysunął wysoki stołek i posadził na nim Piotrusia, trochę kulawy zydel był dla Antosi, krzesło dla pani Janowej, a dla siebie wziął własny kuferek. Wyjął zapałki, zapalił świeczki, zrobiło się jasno i wesoło, że aż dzieci wykrzyknęły z radości, a rozbudzona mucha wyleciała z kąta i brzęcząc, krążyła koło światła. Udobruchana Janowa jedzenie podawała, a Wawrzyniec jadł, dzieciom nakładał i gospodynię chwalił.

Gdy się wieczerza skończyła, wstał i zaśpiewał kolendę:

„Bóg się rodzi, moc truchleje.”

Wtórowała Janowa i Antosia cienkim głosem; z sąsiedniej sutereny wyszedł kulawy szewc Nikodem i praczka Jacentowa i dzieci, stanęli we drzwiach i śpiewali razem. A kiedy przyszła strofka:

Ubodzy, was to spotkało,
Witać Go przed bogaczami,
A Słowo Ciałem się stało.
I mieszkało między nami.

Zrobiło się wszystkim jakoś słodko na sercu, i podniosły się w górę schylone głowy. Nawet wzruszyło się twarde serce Janowej. Widząc Piotrusia, który usnął na stole z kawałkiem piernika w jednej, z jabłkiem w dru-

giej rączce, wstała, wzięła dziecko ostrożnie na ręce, położyła na własnym łóżku i okryła pierzyną.

W pięknym, obszernym mieszkaniu państwa Janickich, zgromadzona rodzina kończyła wigilijną wieczerzę. Dzieci, ośmioletnia Zosia, młodszy od niej braciszek Kazio, i czteroletni Józio z niecierpliwością spoglądali na zamknięte drzwi bawialni. Dziadzio, pan Zawiejski, żartował z Józia, że niebo zachmurzone, to pewnie Gwiazdka nie przyszła. Babcia pocieszała małego pieśczocho. Aż tu dzwonek zadzwieczał, otworzyły się podwoje i oczom dzieci ukazało się gorejące drzewko.

— Gwiazdka! Gwiazdka! — wykrzyknęli radośnie, i dopiero oglądać te dziwy! A czego tam nie było, zabawki prześliczne, książki z obrazkami i gry rozmaite, nie mówiąc już o rozwieszonych na drzewku przysmakach. Nie było końca radości i wesołym okrzykom.

Dziadzio, babcia, ojciec i mama usiedli na boku i cieszyli się widokiem uszczęśliwionych dzieci.

— Przyszedł jakiś człowiek do starszego pana — oznajmił wchodząc służący.

— To pewnie pocziwy Wawrzyniec, zapomniałem ci powiedzieć Maryniu, że go dziś spotkałem i kazałem mu przyjść wieczorem.

— Niechże tu przyjdzie — rzekła pani Zawiejaska, a młoda pani Janicka wyszła sama po niego. Przypomniała starymu, jak on, będąc furmanem w Lisiance, nieraz jej kucyka siodłał. Stary tak serdecznie przyjęty aż zapłakał z radości, musiał wypić kieliszek wina za zdrowie dawnych państwa, mama kazała Zosi włożyć na talerz strucli, pierników i innych dobrych rzeczy i poczęstować Wawrzyńca.

Dziewczynka spełniła polecenie mamy, ale stary jeść nie chciał, prosił, żeby mu pozwolono zabrać z sobą te przysmaki dla jego sierotek.

— To wy macie wnuki? — zapytała pani Zawiejaska.

— Nie mam nikogo bliskiego, wszyscy pomarli, ale znam bardzo biedne dzieci z tej sutereny, gdzie mieszkam.

Mała Zosia zaczęła rozpytywać Wawrzyńca o te dzieci, a stary tak jakoś przedstawił smutną dolę Antosi i Piotrusia, że wszystkich rozczulił.

Dobra dziewczynka chciała mu zaraz oddać swoje dawniejsze zabawki i Kazio także za przykładem siostry. Pani Zawiejaska jednak, pochwaliwszy dobre serce dzieci, umyśliła naocznie się przekonać o położeniu sierot Wawrzyńca.

Następnego też dnia pojechały panie na Twardą ulicę, czekał na nie w bramie domu Wawrzyniec i zaprowadził do mrocznej sutereny. Zobaczyły Antosię i Piotrusia, ujęła ich serca blada i łagodna dziewczynka, tak bardzo kochająca małego brata. Pani Zawiejaska postanowiła zabrać dzieci na wieś, Janowa niby ich oddać nie chciała, ale dostawszy parę rubli jako zwrot wydatków, uspokoiła się.

W kilka dni potem sieroty wraz z Wawrzyńcem wyjechały koleją do Lisianki, gdzie wyjdą niewątpliwie na pracowitych i pożytecznych ludzi. Pan Jezus, którego z głęboką wiarą wzywała Antosia, nie opuścił sierot.

Małą tę powiastkę przesyłam wam, drogie dzieci, wraz z życzeniem świąt wesołych; Nowego Roku.

O! wielkie to i uroczyste święto, ono nam przypomina, że dla nas wszystkich Chrystus Pan zstąpił na ziemię, wszyscyśmy bracia i siostry, dla wszystkich dał Zakon Miłości! Idźmy drogą przez niego wskazaną, a podług słów anielskiego hymnu będzie:

„Chwała Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.”

Anna Zielińska

Przygody Wojtaszka.

(Dokończenie).



— O nie, nie Witoldzie—woła pani, tuląc dziecko do siebie — ja jej już nie oddam, to moja, czuję to, poznaję ją!

Wszyscy są do łez wzruszeni, Julek coś żywo opowiada panie Ludwice i wskazuje na portret. Wojtaszek nieśmiało podchodzi do pana, oczy mu się śmieją a serce skacze z radości!

— Ja, jeśli pan chce, to wszystko jeszcze raz opowiem, jak to było, i jeszcze coś panu pokażę.

— Cóż to takiego?

Chłopiec się namyśla, widocznie się waha.

— Bo, proszę pana, Mira mi mówiła, że jak prawdziwych rodziców odnajdę, to mam im oddać... zaszyła sama w sukienkę Nelli, ale ja nie wiem, czy to już napewno, czy mogę...

— Boisz się, jesteś ostrożnym, nie dowierzasz, nie dziwię ci się, mój chłopcze, ale możesz być spokojnym! patrz, tak witać dziecko potrafi tylko matka.

— Tak, tak, Wojtaszek mruga oczami, bo na widok szczęścia, jakim promienieje jego mała wychowanka, robi mu się jakoś miękko koło serca.

— A więc, niech państwo zobaczą!

W jednej chwili rąbek sukienki spruty, w ręku pani połyskuje złoty krzyżyk, dar matki chrzestnej, który dziecko miało na piersiach w dniu skradzenia! — Tak, to ten sam, data chrztu u dołu, u góry napis „Bóg niech będzie z tobą.”

Dziewczynka przechodzi z rąk do rąk, Julek nie chce jej od siebie puścić.

— Już teraz nie będę taki osamotniony i choć mi doktor każe leżeć, to nie będę wyrzekał, bo przy mnie będzie siostrzyczka! Widzi mamusia, jak to dobrze, że prosiłem o pozwolenie urządzenia koncertu!

— Tak, synku, tak, lecz przedewszystkiem podziękujmy Bogu za Jego łaskę i dobroć! On to kierował krokami tego poczciwego chłopca, i On pozwolił cieszyć się odzyskaniem Marychny! Niech Jemu przedewszystkiem będzie cześć i chwała!

Dzieci dnia tego nie powróciły już do Szymona, a wieść, że znany w szerszych kołach z zacności i wy-

bitnego stanowiska pan Rusocki odzyskał zaginioną córeczkę, lotem błyskawicy rozeszła się po mieście! Krewni, znajomi, przyjaciele, wszyscy cieszyli się z tego szczęśliwego i niezwykłego zdarzenia, a Wojtaszek w opowiadaniach wyrósł na bohatera.

— I jakże państwo myślą pokierować losami Wojtaszka? — pytali znajomi.

— Właściwie, chłopiec pragnie tylko nauczyć się czytać i pisać, bo po to wywędrował z wioski rodzinnej — powierzyłem go już nauczycielowi Julka i ten mówi, że robi duże postępy. Nieźle już czyta i pisze, a potem chce wrócić do swoich, mówiąc o Brzezinkach i chacie ojcowskiej, rozpromienia się; to prawdziwe dziecko natury, tęskni za zielenią, za pracą na roli, za swoim bydelkiem!

— I to będzie najlepsze, przecież krewni jego boleją także, że go utracisz!

Zimę Wojtaszek spędził w Warszawie, nauczył się doskonale czytać, pisać, rachować, poznał dzieje własnego kraju, a na wiosnę, tak, jak bociany i jaskółki dążą do gniazd swoich, tak i on także podążył do chaty ojcowskiej!

Wiele się w niej zmieniło, czekała go tam praca i trud niemały! Stary Łukasz zniedołężniał, nie mógł się już prawie ruszać, modlił się tylko i narzekał. Stryjenka pracy w polu podać nie mogła, potrzebna jej była pomoc. Wojtaszek ją przynosił a przytem i wybawienie z kłopotów, bo pożyczony niewielką sumkę w czasie nieurodzaju, i ciężkiego przednówku, byli bliżej stracenia całej ojcowizny! Czekala wszystkich poniewierka na komornem i nędza, lecz Wojtaszek swym powrotem zapobiegł temu!

Pan Rusocki chcąc wywdzięczyc się chłopcu za starania i opiekę, jakiej nie szczędził dla jego ukochanej Marychny, zapłacił dług i dał niewielką zapomogę na konie i bydło, a Wojtaszek jął się pracy!

Dziś jest to jeden z zamożniejszych gospodarzy w Brzezinkach, najrozumniejszy i bardzo uczciwy! Siostry swoje Wikcię i Marysię posyła do szkoły wiejskiej, a wieczorami siedząc, zmęczony pracą, lubi opowiadać o swoich przygodach i wędrownkach po świecie.

Julja Piasecka.



ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ul. Warszawiak dla M. Cz.

Skazga	
1 2 3 4 5 6	
2 Pałkow	Miasto nad Wisłą.
3 Pałkow	Państwo w Europie.
4 Rzemieślnik	
5 Miasto nad Niemnem.	
6 Półwysep w Azji.	

W kwadracie o 6-ciu podziałkach ułożyły wyrazy, których litery oznaczone liczbami mają złożyć mają nazwisko słynnego polskiego kaznodzieja.

ZAGADKA.

(ul. Łabędź).

W domu czy w drodze,
Na jednej nodze,
Kolejką chodzę,
Gdy mię kto skaleczy,
Zaden doktor nie uleczy.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 50-go.

Szarady: Pa — ra — sol.

Rebusiku:

Wyśmienicie nauczyli się wierszy.

Skrzynka do listów.

Za serdeczne listy, przysłane do redakcyi z życzeniami świątecznymi, dziękujemy kochanym naszym czytelnikom i czytelniczkom — **Walusiowi P. Jani Z. Szarotce**, bardzo nam przyjemnie, że wam się tak podobał nasz numer gwiazdkowy z ryciami kolorowemi; będziemy dawali takie numera od czasu do czasu.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Białe Gołębek, Witold Sokolowski, Słowiczek z Marszałkowskiej, Polna Myszką, Sir Warburton, Cavor, Irenka Cz.

P. Z. Morawska pisze do nas:

Czytelnikom, którzy mnie pytają, jakie są dalsze losy „Paniczyka” donoszę, iż powieść ta wyjdzie r. 1903 w oddzielnej książce, gdzie znajdą się losy tak głównego bohatera, jako też jego siostry i jego kolegów. Tymczasem ślę serdeczne pozdrowienia moim korespondentom.

Ej, niepocziwa, a mimo te kochana **Biała Mewo**, po długim milczeniu nakreśliłaś półtorej ćwiartki a już przepraszasz, żeś się tak rozpisiała. Kiedy ja wołałabym całe dwie ćwiartki. Spędziwszy tyle lat zagranicą, nie dziwię się, iż rada jesteś poznać naszą zimę z jej mrozami, śniegami, sanną i ślizgawką. Dla nas zima dużo ma uroku, lecz często na myśl przywodzi że:

Smutno i mroźno	Trudno się myśli
W chacie na błoni,	Zbyć smutnej szaty,
Wiatr piosnkę groźną	Chociaż mróz kreśli
Po szybach dzwoni...	Na oknach kwiaty.

Podlasiance dorosłej już, ale jeszcze, jak pisze „nie prze-roślej”, dziękuję serdecznie za poczciwe słowa do mnie zwrócone i za trafne zrozumienie uczuć moich i zadań. Łamigłównki pomieścimy, ale prosimy o nadesłanie rozwiązań.

Podolanka z Pobereża zapytuje **Gwiazdkę Zacisza**, czy zechce jej przysłać swój adres za mojem pośrednictwem.

Żabce z nad Rosi. Ja nie tak łatwo zapominam o moich kochanych korespondentkach, chociaż one często po kilku serdecznych liścikach zapadają w milczenie. Spodziewam się, że obietnice twe nie spełzną na niczem, że wytrwasz w dobrym zamiarze zaliczenia się do grona moich stałych korespondentek i obiecanego listu bardzo oczekuję. Kto się ukrywa pod pseudonymem **K. z P. i Sr. z nad. R.** nie wiem, a choćbym wiedziała, bez upoważnienia ich wyjawić nie mogę. Żądany numer wysyłamy, nic się zań nie należy. Łamigłównki twoje, bardzo na ogół dobre często umieszczamy.

Lubię dzieci i lubię odbierać od nich takie miłe i serdeczne listy, jak ten, któryś do mnie napisała **Brzydulko**, a choć na początku przyznajesz się do leniuszka, nie wątpię, że raz przewyciężony nie powróci więcej i nie przeszkodzi nam w zawiązaniu bliższej znajomości. Piękny to zwyczaj, gdy dzieci uczą się zawczasu odkładać swoje pieniądze na szlachetne cele; przy-

ślane 3 ruble odesłaliśmy biednym sierotkom do szpitala Dzieciątka Jezus. Mam nadzieję, że i dalsze powiastki i opowiadania w *Wieczorach* niemaiej będą cię zajmowały od tych, które się już skończyły w tym roku. Kasztany rosną dość prędko, ale przed trzema laty nie doczekasz się chyba żądanej wysokości. Podczas wakacyi wyjeżdżam na parę miesięcy, a wtedy redakcyja na listy moje odpowiada. Ucałuj odemnie Ocię i małego *Minia* i napisz prędko!

Myszce z Chostka, Halce z nad Teterowa i Leśnej konwalii za życzenia i ładne kartki dziękuję i serdecznie pozdrawiam.

Duch Puszczy za mojem pośrednictwem posyła swój adres *Przyjacielowi Wieczorów i Jaskółki*. **Michał Tanenbaum** Łódź ul. Zachodnia N. 49.

Dowiedziałam się, kochana **Łochoźwianko**, że byłaś w Redakcyi naszej. Czy się spotkamy kiedy, trudno mi określić, bo pewnie obie jesteśmy dość zajęte, a ty używasz Warszawy; ale ja mam nadzieję, że przynajmniej znajdziesz trochę czasu, by do mnie pisywać tak, jak pisywałaś z Łochoźwy, o co cię bardzo proszę.

Nie baw się, **Myszko Polna**, w stoliki wirujące, bo to zabawa, która z łatwością może rozwinąć wiarę w zabobony i przesady. Naturalnie, że osoby, które trzymają stoliki, świadomie lub mimowoli wpływają na wypukiwanie potrzebnych liter i wtedy tylko, gdy one wiedzą, co mają odpowiedzieć, jest jakiś sens w tych odpowiedziach. Gdybyśmy wiedzieli twój adres, posłalibyśmy za trzymane przez brata numera.

Żegnaj was do roku przyszłego, daj Boże dobrego.

Wasza *Jaskółka*.

Żarcik na zakończenie.

W szkole.

Nauczyciel. Powiedz mi, dlaczego woda w morzu jest słona?

Uczeń. Dlatego panie profesorze, że w niem pływają śledzie.

Litościwy chłopczyk.

Janek. Mamo, nie pozwól Zosi łąpać motylka, który fruwa na oknie.

Mama. Dobrze mój synku, widzę, że masz dobre serduszko, kiedy się litujesz nad małym motylkiem.

Janek. Ja się nad nim nie lituję mamo, tylko sam chciałbym go złapać.

Myszka Polna.

Ofiary.

Dla biednych dzieci: Genia Bortnowska rub. 1. Rodzina Krukowskich rub. 1 Siedlecki rub. 5.

Dla ochronki: Sala i Mila rub. 2.

Na szpital Dz. Jezus: Niunia Tuska rub. 2.

Na opał dla biednych: Kotka z Pilawy kop. 15.

Wychodzi codziennie

nie wyłączając niedzieli.

Istniejący rok setny dwudziesty dziewiąty

Dziennik polityczno-społeczno-literacki

„Gazeta Warszawska”

z bezpłatnym dodatkiem tygodniowym p. t.

„Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy.”

Jedyny większy dziennik, wychodzący codziennie z rana i wysyłany na pocztę przed południem — jest więc pismem najwcześniejszym dochodzącym na prowincję.

W Warszawie: rocznie 9 rubli, półrocznie rb. 4 kop. 50, kwartalnie rb. 2 kop. 25, miesięcznie kop. 75. Za odosłanie do domu 5 kop. miesięcznie.

Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rb. 12, półrocznie 6, kwartalnie rb. 3 — łącznie z przesyłką pocztową.

ADRES: *Redakcyja „Gazety Warszawskiej”*

Nowy-Swiat Nr. 35.

Redaktor i wydawca St. Lesznowski.

4—2